



Irena Eichlerówna i Wilam Horzyca po poznańskiej premierze Fedry, 1949

Szanowna Redakcjo!

Dziękując za tak miłe dla mnie zaproszenie, aby na łamach Waszego pięknego pisma zabrać głos poświęcony pamięci Wilama Horzycy, mogę jedynie odpowiedzieć skromnym listem. Nie czuję się upoważniona do rozstrząsania Jego działalności teatralnej — pozostał w mojej pamięci — zawsze jako uczennicy.

Horzyca i pączki. Tak mogłabym określić wspomnienie o moim profesorze, dyrektorzce i reżyserze. Miał zwyczaj — wykładając w Szkole Dramatycznej historię dramatu — zbierać kłupkę swoich uczniów nie na szkolnych krzesłach Konserwatorium na Okólniku, ale obok, przy stoliku cukierni Starowiejskiego i napychać zgłodniałych wiedzy „artystów“ (przyszłych) pączkami. W przerwach między pączkami odbywały się wykłady — przeważnie recytował Norwida, ale coś niecoś mówił przecież, i chyba wcale nieźle, skoro po tym pokarmie wiemy do dziś sporo o historii dramatu, jak i teatru, nie licząc Norwida.

Myślę, że nudził się śmiertelnie w charakterze oficjalnego profesora i wolał wydawać pieniądze, jakie w szkole zarabiał, na pączki i mieć spokój w głowie. Całe już życie pozostał nam taki pączkowy. Okropnie nie lubił sprawiać jakichkolwiek przykrości swoim aktorom, zazwyczaj wszelkie z nimi kłopoty zawierał raczej ich rodzinom, najlepiej mężom i żonom, ci wszystko krótko streszczali zainteresowanym w domu i w taki prosty sposób sprawy chyżo się załatwiały.

We Lwowie były masy śniegu i sanki, przed swymi ukochanymi premierami wielkiego repertuaru poetyckiego pakował nas, ile się zmieściło, do sanek. Po takim rażnym spacerku zdrowotnym graliśmy żwawo, a on się widocznie uspokajał, skoro z ciemności kulis, zasłuchany w swoją wielką poezję, jednak na scenie się nagle nie zjawiał w zapamiętaniu, między aktorami, podczas spektaklu. Zresztą zawsze rozstawialiśmy niewidoczne straże na wszelki wypadek, które w razie czego zatrzymywały go za frak. Bowiem na „wielkie“ premiery przychodził we fraku czy smokingu, choć potem nie chodził nigdzie. Zazwyczaj wracał ze swoją żoną, dobrą i kochaną przez nas wszystkich panią Stasią, do domu. Wielkie znaczenie miało dla nas jego ubranie na premierach — poznawaliśmy wówczas, czy jest „święto“. Czasem Horzycowie chodzili z nami do winiarni słynnego Atlasa, gdzie siedziało się przy beczkach i coś jadło (bo Horzyca nigdy nic nie pił prócz czarnej kawy), czy też do restauracji Koziola, ale tam było dla nas strasznie drogo.

Horzyca było wszystko jedno, kto i jak mówi, upajał się brzmieniem żywym utworu. Jestem pewna, że słowo pisane było dla niego martwe, utwór żył tylko wówczas, gdy był mówiony. Spotkałam dwóch takich ludzi. Wielki poeta Jan Lechoń *Pana Tadeusza* znał oczywiście na pamięć, ale zawsze prosił kogoś, aby mu czytał jakiś fragment, tylko że słuchał obrócony tyłem, bo płakał. Horzyca płakał, ale stał przodem. Cierpiał ogromnie, gdy to aktorom przeszkadzało i nie mogli grać.

Lubił ten świat, lubił w nim żyć. Moda teatralna, że publiczność ma w teatrze siedzieć i myśleć, a nie przejmować się, nie odpowiadała mu chyba — tak mi się wydaje. Myślał dostatecznie wiele i obawiał się zapewne, że publiczność — owszem siedzi i myśli, ale to samo co on, że się okropnie nudzi. Zresztą nie należał do typu ludzi teatru, którzy stale odkrywają Amerykę, jakos wiedział, że wszystko raczej zostało już od dawna odkryte.

Nauczył nas cenić Racine'a, po wojnie wystawił w Poznaniu *Fedre*, za co pozostał nie tylko bez pączków. Uratował go Axer i jego Teatr Współczesny *Profesją Pani Warren*. Potem, jako dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie, znów z uporem wystawił *Fedre*. Wówczas już omal nie dostał nagrody, ale nie zdążył.

Horzyca był jednak człowiekiem ufnym. Ufał w przyzwoitość ludzką. Wierzył ludziom, ich słowom, w przyjaźń — więc i obdarzał ludzi swoim zaufaniem. Po wojnie ta Jego przyzwoitość okazała się zapewne trochę księżycowa — spotkało Go chyba wiele ciężkich zawodów, pewnie po nich chorował ciężko.

Nie wiem, co to jest talent — pewnie kalectwo — ale wiem, że chyba od początku świata pewni ludzie mają dar wizji, którego inni są pozbawieni. Horzyca go miał. Był poetą niewątpliwie, tylko nieludzko ambitnym. Moim zdaniem uważał, słusznie czy niesłusznie, że jako pisarz nie dorówna tym, których uwielbia, a ponieważ tylko to mogłoby go zadowolić, wolał nie pisać wcale.

W każdym razie upór twardy tego człowieka przy wystawianiu wielkich dzieł pozostał niezmiernie niezłamany. Strasznie go brak.

To na razie byłoby wszystko, co mogę napisać, łącząc dla Waszej Redakcji piękne słowa szacunku.